



Stanisław Maykowski

Śpiew
o
wodydrze



POLSKI ZWIĄZEK ŁOWCÓW

BIBLIOTEKA

Nr 1955



ŚPIEW O WYDRZE

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
№ 429 / 1955

May
8th

STANISŁAW MAYKOWSKI



ŚPIEW O WYDRZE



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1931

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWCZY

BIBLIOTEKA

Nr 4955 /

ILUSTROWAŁ STANISŁAW MATUSIAK

PRAWO AUTORSKIE I ILUSTRACJI ZASTRZEŻONE

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
pod zarządem Adama Wierzbickiego

...Przysłał do mnie Król Jegomość pana Straszowskiego, sługę swego, prosząc o darowanie wydry, którą chowaną miałem. Że jej nie było w domu i tam się gdzieś włóczyła po stawach, wyszliśmy na łąki. Począłem ją wołać jej przewiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła koło mnie się łasić...

Jan Chryzostom Pasek
(Pamiętniki)

POLSKI ZWIĄZKOWY
BIBLIOTEKA
1855



wór pana Paska był jako są inne,
Schowany w sadzie jako oko w rzęsie,
Głośniejszy jeno: to sąsiedztwo winne,
Że od hałasów dwór on wciąż się trzęsie.

Bo wkoło kołat i świst i wołania,
Rzekłbyś, że w boru to dźwiękot ptakowy,
A tam bek zasie, jakim zwie się łania...
Czyby jej kto tu nałożył okowy?

Jakoż tak było. Bo pod druty wzięty
Zwierz i ptak razem głośno się tam sprawia.
Pod drucianemi tu go swoją pręty,
Przez które bieży tera gwar żórawia.

Dlaboga, skąd się nabrało tych żywin?
Jakby zwierzęta założyły obóz:
Tam jelen podniósł rogi, pełne krzywin,
A wyżej twardo pokrakuje kobuz.

Zaś on zwierzyniec tem jest słynny taki,
Że są w nim sobie wszyscy bardzo radzi,
Że ze zwierzęty mają zgodę ptaki,
Choć był kto komu dawniej wróg, nie wadzi.

Temu się ono dłuży pysk, jak torba,
Gdy żre podane przez pachółka zielska,
A ów ma w mięsie biesiadę i siorba,
Lecz jest ich mowa wzajem przyjacielska.

Właśnie wszedł Pasek, przeto zwierz go wita,
Którego liczy ten hetman do piechot
I kawalerja ptaków, też obfita,
A wszystkie wespół czynią wrzask a rzechot.

I wzrok po swojskich tych drużynach kładzie
I myśli: jak to człek człowieka gryzie,
A me zwierzęta jako żyją w ładzie
I jako zdolę utrzymać je w ryzie!

Na ptaki potem patrząc, sięże po nie,
A z nich niektóry rwie się sam do ręki.
Na to pan Pasek: „Tak to trza, nicponie,
A com to z wami pierwej miał udreki!”

I szedł pan Pasek przez on szereg długi,
Jakoby przegląd czyniąc: tego sroma,
A zasie innym dawa w głos zasługi,
Między tym zwierzem jest jakgdyby doma.





Przed jego okiem nic się nie utai,
Wie i o cnocie i szelmostwie onem,
Zarówno zacnych zna, jak i hultai,
Próżno ziem liszka zmiata mu ogonem.

Próżno doń jakby z przymileniem człapie.
Na kogo gniewny, nie pojrzy nań ani,
Czapłę po srebrnej zato gładzi czapie,
Rzekąc: „Nowego co tam u acani?”

Zaś gdy jastrzębia skrzydła się rozpostrą
I spadną z góry ogromne, jak statek,
Na to ptaszysko krzyknie, patrząc ostro:
„Wiedz, że ukarzę każdy twój niestatek.”

Taka u niego jest o wszystkim wiedza,
Gdy idzie, znaczny we pstrym swoim pasie,
I gdy zwierzyńce swoje gwarne zwiedza,
A wraz drużyny swoje sprawia ptasie.

Ktoby rzekł, słysząc głosów sto, co świsto,
I widząc tyle onych różnych zwierzy
A człeka pośród, że to nie nad Wisłą,
Że tu Eufrat przez wtóry raj bieży.

Ale już nie lża być ze zwierzem póty,
Bo inna woła pana Paska praca,
Przeto zatrzaśnie zwierzyńcowe druty
I w pola kroki zamyślane zwraca.

A za nim lecą do polnych dalekot
Gwizdy i beki i jako klaskanie,
Aże kto z drogi posłyszysz on skrzekot,
Ten się przeżegna z dziwu i aż stanie.

Tyle tam uciech jest ze wszelkim zwierzem
I takie ptaków weselące hufce.
Aż dotąd brzmi to jakby pieniem świeżem,
Choć było temu trzysta lat w Olszówce.



o tem pan Pasek idzie tak przez pola,
A w łąki mokre, co srebrnieją ranem,
Aż tu z przykopy, co się tam szkli, hola,
Cosi wyskoczy i zda się też szklanem.

I to coś rosy srebrnemi wkrąg miotnie
I piszczy rade wśród tych wodnych szklenot,
Zasie do nóg mu rzuci się ochotnie
I parszające, wkoł tak lśni, ni klenot.

On zrazu zacznie grzmieć: „To tu masz paszę,
A do dom zasie ani dawasz wieści,
Juże tym razem miarę przebrał wasze.“
Niby na wydrę jest zły, lecz ją pieści.

Bowiem to ona była to stworzenie,
Co się we wodnem okazało oknie,
Ona po łąkach błąka się i żenie,
W tem swą kontentność mająca, że moknie.

I tak się z panem wita, tak mu rada,
Że to tam wielkie śród nich są przyjaźnie.
I przed się idą: on coś do niej gada,
A ona skrzekła, postępując raźnie.

A ode dworu woła ich ktoś drżąco...
To gospodyni we świat głos posyła,
Że to południe, lecz się słowa mąca,
Bowiem je dzwonu mowność zagłuszyła.

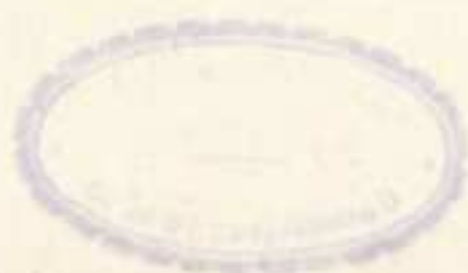
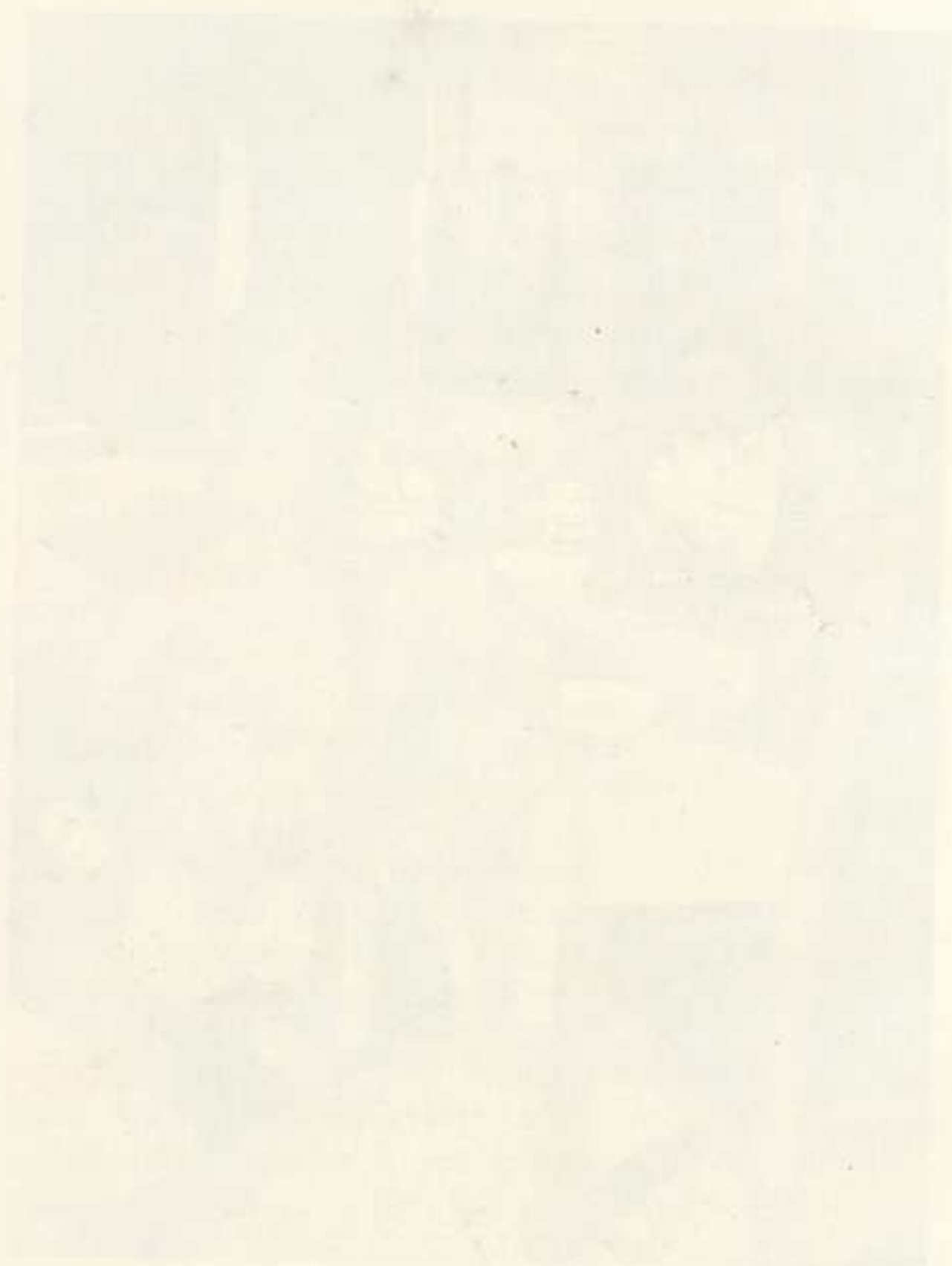
I w dom powrotnie idą: ta się tarza,
Skry deszczu sieje, nie dbająca o nie,
On czemuś usty pocichu przywtarza
I Anioł Pański mówi wraz przy dzwonie.

I przyjdą potem, a siedą u stołu.
On ze swej, ona je ze swej farfury
I tak tam będą smakować pospołu
I osobliwie chwalić kęs niektóry.

A zaś nieduże służy im pachole
I myśli: chyba zaś mi ono śni się.
Uwagę jego tak ta wydra kole,
Że w niej oczami tonie zamiast w misie.

Bo ledwie w służbę tego Piotrka wzięto:
Do stołów dawa, zasie łoże ściele,
Rad, że we dworze to jest zawsze święto,
I w izbach chodzi cichy, jak w kościele.





I słucha teraz, jako zwierz on mlaska
Całkiem, jak ludzie, co są jadłu skorzy,
A raz wraz głowę zawróci na Paska
I cosi jakby do niego skrzekorzy.

Przeto ją Piotrek uznał godną ludzi
I oczy sobie zasłoni tem lichem,
A że go znagła szklany brzęk obudzi,
Jakim podłoga wita się z kielichem.

I tu w turkuśnych oczach łzy mu staną
I strach dziecięcem aż zatrząsie ciałem
I, w pana Paska patrząc twarz zgniewaną,
Mówi: „Jegomość... ja już... ja nie chciałem...

Ja tylko przez to, że... bo zwierzę owo...
A i śklanica ta też była śliska...”
Tak mówi, zasie płacz mu wstrząsa mową
I jak zpowrotem słowa w gardziel wciska.

A zaś pan na to: „Patrz, co imasz w ręce,
I po raz drugi szkody mi nie porób!
Uważaj, bo ci to ucho ukreczę,
A teraz prędzej bierz się do tych skorup!”

Tu ciszej rzecze: „A niech się nie dowie
Ona klucznicą, wiesz, ta z kuchni stara,
Bo znów jej krzyki będę mieć na głowie,
A tobie to już skórę wytatara.”

I tu się trochę uśmiechnął chłopięciu,
Które w łzach jeszcze nad szkłem onem klęczy,
Wznosząc je w ręce o kusem opięciu,
Rzekłbyś: czerepy potłuczonej tęczy.

I Piotrek wdzięcznie oczy utkwił w pana,
A much melodja ono się jak miele
I izba w słońcu jakby jest skapana.
Spytałby o coś, lecz mu to nieśmiele...

Za Paskiem stoi znowu, jak kazali,
Aż się odważy w złotej tej zadusze
Spytać z jąkaniem: „Aza to... azali
Ten jegomościn zwierz ma takóż duszę?”

Pan Pasek okiem jakby w dale idzie,
A że myśl wszelką wielość słów uboży,
Więc tylko, jakby ujrzał coś w przywidzie,
Rzecz: „Jak wszystko, i on zwierz jest boży.”



ad domem pieczę miała gospodyni,
Spóźniona w latach, lecz językiem jęcza.
Ta jest na nogach, skoro dzień się czyni,
I do roboty, kogo spotka, pędza.

A zaś, co pojrzy na kogo, to srodze,
Aż ręce dziewczek mleko z drzeniem leją
Ze skopców, białość przydające drodze,
A ona fuknie: „Jak to niesie! Cie ją!”

I w kwietnej kiecy, nadętej, jak bania,
Pływa po izbach, wydająca dźwięki,
Bo jako chłopcy przy mszy, tak podzwania,
W kluczy wszelakich opasana pęki.

Bowiem o pierwszym zwykła wstawać kurze.
Ledwo się słońce z leż różowych zwlekło,
Już na uśpione dziewczki burka: „Nuże!”
I wszędy czyni warkot, krzyk, a piekło.

Wszystkim przygani coś, bo jest już taka,
I ze wszystkimi być wciąż musi w zwadzie.
Nawet koguta, choć głupiego ptaka,
Złaje: „Gdzie indziej idź pisać, darmozjadzie!”

Żeby to jeszcze kogut! Lecz te z lasa
Krzykacze, ona wśród domu ptaszkarnia
I on zwierzyniec! Pan to wszystko pasa,
Zasie klucznicę złość a gniew ogarnia.

Czuje zawziętość na onego zwierza...
Co też na świecie nie dzieje się ninie!
Pan tam, gdzie inszy ze szturmaka zmierza,
Pchać w gardła każe żarcie tej gadzinie.

Zato od rana ten ptak dziobem śwista,
A ów zwierz chrząka zarośniętym ryjem...
Grzech i obraza boska oczywista,
Czy to widziane było okiem czyjem?

Aż człowiekowi w głowie się coś miesza,
Kiedy to wszystko piszczy, gra i paple,
Kie się kobuzów ozwie śmieszna rzesza,
Kie lis zaszczeka i zakraczą czaple.

A który zwierzak najwięcej ją gorszy,
Aż gospodyni dyszy, zasapana:
Wydra. To łajdus, do psoty najskorszy,
Złe to, a śmiałe do samego pana.

Bo mokrą łapą prosto w izby pcha się.
Ani doczyścić sprzętów, tak je wala.
A pan to ręce założy na pasie
I w śmiech, na wszystko szelmie tej pozwala.

I tu, że dość jej, w kluczy sto dzwoniąca
Ugodzi pana pośród izb oczyma
I, co ją kole, o to mową trąca.
Pan, nie pan: złości dłużej już nie strzyma.

„Jegomość” — rzecze i na pana Paska
Pożrzy, a przytem zwiędłych lic wykrzywi —
„Niech też jegomość powie, jeśli łaska,
Naco u dworu tę błaznicę żywi?

Jaki to z tego i pożytek w domu?
Że tam do wody skoknie po te ryby!
Ale co szkody z nią jest, co ta komu
I mówić... Czyby nie można jej... czyby...”

I tu się język jejmości zaplącze,
Bowiem pan Pasek jął się z gniewu czuba
I z ust wyrzucać począł słowa rącze,
Jako mu wydra jest nad wszystko luba.

„Niech mi asindźka patrzy na swe grzędy,
A, gdzie nie trzeba, niecha nie pcha nosa!
Jakbym nie wiedział: tędy, czy tamtędy,
Wciąż swoje brzęczy wkółko, jak ta osa.

Do kuchni aśce i do różnów onych,
Tam patrz, czy aby dowrzało pieczyste...
Tu aż wypieków dostał dwu czerwonych,
Krzyząc: „To z babą utrapienie czyste!”

Przeto w pokornym ukłonie się zgina,
Tak upomniana, mruczając: „Jako chce pan...”
Lecz ją złość trzęsie, więc zrzędzi babina:
„To skarb, nie wydra, to cud, to marcepan!”

A Robak słuchał tej rozmowy z kąta.
Wie, co pan Pasek wypalił babuli,
Więc się po izbie tam i sam zakrzęta,
Do kolan pańskich, dzięki czyniąc, się tuli.

I stara dworka znów wśród izb się toczy,
Niby ta sama, z garnkami się swarzy
I nic nie zdradzą jej złe zawsze oczy,
Niczego z zmiętej nie wyczytasz twarzy.

Lecz chociaż niby wszystko szło spokojnie
Pośród sokołów, sów, lisów i sobak,
Przecież tych dwoje było w cichej wojnie:
Mściwa klucznica i krzywd pomny Robak.



asie za dworem był staw, chwiejny wodą,
Ni płynna złotem, a za pełna misa.
Po nim się kręgi zieleniące wiodą,
Tam i sam nad nim olchy liść obwisa.

Był ten staw dawno i jest jeszcze ninie,
Barwy swojemi radosnemi błyska,
Jako w ogrodzie, przez pól skryty w trzcinie,
I niespokojny zawsze, jak kołyska.

Ciepło jest nad nim, choć chłód z wód zalata,
Niebo swój błękit we fali powtarza,
A na powietrzu gęźba gra skrzydlata,
Wielka i mała: ptasia i komarza.

Zaś w onej srebrem płynącej sadybie
To twory dziwne zwykły mieć przytułek,
Ryby: lśnią z wody te pobłyski rybie,
Jak słońce w domu poprzez szkła gomólek.

Każdy twór inny. Bo ów pływać zda się,
Jako w złociste przyodzian pancerze,
A on zielony w nakrapianym pasie,
Ten cały w cętkach lub o bladej cerze.

A jeden wielki i ze srebrną paszczą,
Która do żarcia zawždy kogoś szuka,
Zaś łby błękitne jakby mu się płaszcą:
To jest nad zbóje zbój, a zwa go szczuka.

A co jest dziwno a straszno zarazem,
Że one ludy, śpieszne pod głębiną,
Przykryte wodą jako szklącym głazem,
Milczą, gdy żywią i milczą, gdy giną.

W świt, kiedy rade w wód różaność szłyby
I kiedy wkół jest słodko a kołyśnie,
Na szamotanie zważ tej srebrnej ryby,
Nim pożegnalnie fali skrzela błysnie!

Już inne mokrą rozbiegły się miedzą,
Po drodze siejąc srebro swe a złoto,
I co się stało z tamtą, dobrze wiedzą,
Na ów łów srogi patrząc, zgadną, co to.

Czyliż nie czyha na rybę zło wszędy?
Czyli jest lichszy czyj tu los na świecie?
Wszak czego pletwą tknie się, zara wędy,
Zara ją srogie chcą uchwycić siecie.

I skrzy się woda tym żalonym ludem,
Wciąż to posrebrzem miga, to pozłotką,
Raz cielskiem karpia znagła załśni rudem,
A raz pod słońce załyskota płotką.

Zasie nad stawem gra muzyka musza
I słyhać czyjeś głosy a stąpanie.
Toć to pan Pasek. A cóż go przymusza
W ten żar do drogi? W białym jest żupanie.

Wąsów opuścił szarzejące kity
I, jako zwykle w czas pogody czynim,
Patrzy z uśmiechem w nieb i wód błękity,
Zaś owa wydra u nóg bieży przy nim.

Rad jest pan Pasek i powiada do się:
„Bóg dał dzień piękny, ano takich trza mi.“
Zasie staw w śpiewnym odpowie mu głosie,
Jakby setnemi słowa siał ustami.

I jest dnia jasność na paskowej twarzy.
Wtem uczuł: ktoś mu rękawa się czepia.
Przypomniał wydrę i zara uważy,
Że o coś proszą jej łyszczące ślepia.

Więc udał, że to jej posług mu na co,
Pokazał kozła na czole jakoby
I swarzy na nią: „To jakieś ładaco
Nic, tylko zawsze w oną wodę szłoby.“

A wydra małe wpatrzyła weń oczka,
Jako światełka, których jest po parze,
Na skok gotowa zawsze jako skoczka,
Li czekająca, skoro on jej każe.

Przeto pan Pasek jakby się dobrucha
I rzecze: „Pomnij, że ja ciebie wiodę,
Nie ty mnie! Toli, że ryba się rucha,
Więc, jeśli asan tak chcesz, to hul w wodę!”

Zahurkotało na powietrzu srebrnie
I niema wydry i widać ją tyle!
Juże we wodę pieniając się webrnie,
Jeno szeleszczą zgrzytne trzciny badyle.

Patrzy pan Pasek pilnie: zaś we stawie
Gonitwy, łomot... A to widowisko!
Karp o swej górnej zapomniał postawie,
W muł wchodzi, wodę przecinając ślisko.

W rozpacz okno o ton wzdętą trze się
I srebrną głową o brzeg bije w szale
I źle jest rybom: wydra śmierć im niesie,
Śmierć im śpiewają poplątane fale.

Aż ciemny potwór we wód mętną zieleń
Pluchnie... Wyminąć, minąć, minąć trza go!
Kto to ucieka pracą srebrnych skrzeli?
To szczupak. Nanie! Wydra łap i ma go.

I mokra, wody pozłotą tryszcząca,
Wyszła, gęstowiem trzcin zakryta płowem.
Wały trzcin, sztywnie szelestne, roztrąca,
By na brzeg wypaść z srebrnym w pysku łowem.

Pan Pasek usta aż otwarł w podziwie
I rzecze: „Obiad będzie znaczny ono.”
I patrzy w rybę o migotnem szkliwie,
Na jej olbrzymie, jako w baśni, dzwono.

A wydra rade zatopi weń ślepie
I jest od słońca cała jakby szklanna,
A potem, gdy się z owych mokrot trzepie,
Tak wód srebrnotą sieje, jak fontanna.



raz u drogi ozwą się kopyta
I ktosi wyjrzy ze szklących kolasek.
Na ludzi kiwnie, a gdy przydą, pyta,
Czy to Olszówka i w niej imci Pasek.

A gdy mu rzeką, że tak, to wysiedzie
I wąsa w górę czarniawego zadrze
I po kwiecianej okiem wiodąc grzędzie,
Po list jakowyś sięga w szat zanadrze.

I w dworski ogród idzie on pan prosto,
Bo gospodarza dojrzał już u płota.
Ten kwiaty gani, że nie, jak trza, rosną
I komuś za to słowa gniewne miota.

Aż się rozmarszczy i już gniew mu za nic
I ręce, jako gościom zwykł, rozkłada
I na pachółka krzyknie: „Dać tam szklanice!”
I doda: „Chata, czem bogata, rada.”

A tamten wesa czernionego głaśnie
I rzecze: „Wielkie jam tu zjechał ziemie,
Zasie przybywam, jak po ogień właśnie.
Oto list, czytaj, bo z nim sam król śle mię.”

I tu się zdziwi Pasek łaski temi,
Że to był szlachcic o małej chudobie
I podziw aż mu powitanie niemi,
Li przybyłemu ściska dłonie obie.

Potem na izby idą, płynni szatą,
Co gra w promieniach i barwą się świetni.
Śród kwiatów, które zapaliło lato,
Jakby wyrośli z traw, tak idą kwietni.

W dwór z posłem wchodzi pan Pasek pod ramie,
Prosząc w ubogie swoje kąty cztery,
Poczem pieczętną czerwień listu złamie
I we czci czyta królewskie litery.

„Mój mości Pasek” — tak brzmi to pisanie —
„Wieść zgola dziwna aż tu się doniosła
O onej wydrze sławnej i asanie,
Więc, że nie mogę do Cię sam, ślę posła.

On tam przyjedzie kłaniać Ci się o nią,
A wzamian wasze, co chce, niecha bierze!
Jam nie z tych, co to radzi umknąć z dłonią,
Więc, coli wola, prosz za ono zwierze!





Czyli ze stajni, ze złota, a tkanin,
Dam i sam jeszcze nadto coś dołożę...
Jeno niech wydrę weźmie mój dworzanin,
Bo mi tu bez niej tęskno, choć na dworze.

A tak mi w serce wieść o niej zapadła,
Że choć przy królu, jako wiesz, jest szumnie,
To rad nie dzielę ni zabaw, ni jadła,
Pokąd ta wydra już nie będzie u mnie.

A prędko przecie wolę swoją stanów,
Iżbym był wdzięczen tem więcej waszeci!"
Pod pismem onem stoi: „Dan Wilanów“,
A nieco niżej podpis: „Król Jan Trzeci.“

Czyta pan Pasek i w list wbija oczy
I widzi, jaka to nań przyszła bieda.
Jakoby izba naraz mu się mroczy,
Nie, jako żywo, wydry onej nie da!

Ni to, ni owo rzecze więc posłowi,
Że się ta wydra dawno jakby biesi:
Może na stawy poszła i tam łowi,
A może indziej zaszyła się gdzieś.

Tak rzekł, zaś w izbie, co jest wpobok zara,
Była klucznica. Ta przyłoży ucha
I wyrozumieć rozmowę się stara.
Już wie, w czym rzecz jest, więc więcej nie słucha.

Niechno przyciszy brzęki swoich kluczy,
Co w całym domu dają znać o zrzędzie.
W to jej graj! Do się radośliwie mruczy,
Że wreszcie wydry z domu się pozbędzie.

I za dwór człapie, a ku stawnym wodom,
Jak zwykła w obiad, skrzecząc, ręką kiwa
I na Robaka, co mknie chyżo do dom,
Parą oblażłych ocz poziera, mściwa.

Pan Pasek właśnie na ławie się kręci
I łże, że wydra to jest wielki zbijak,
Że się zaszyje gdzie w nadbrzeżne pręci,
Więc jej odszukać przez dni kilka nijak.

I jest mu razem źle i bałamutnie,
Bo jak królowi, gdy chce wydry, nie dać
I myśli: niechże język mi kto utnie
I na targ niecha wyniesie go sprzedać!

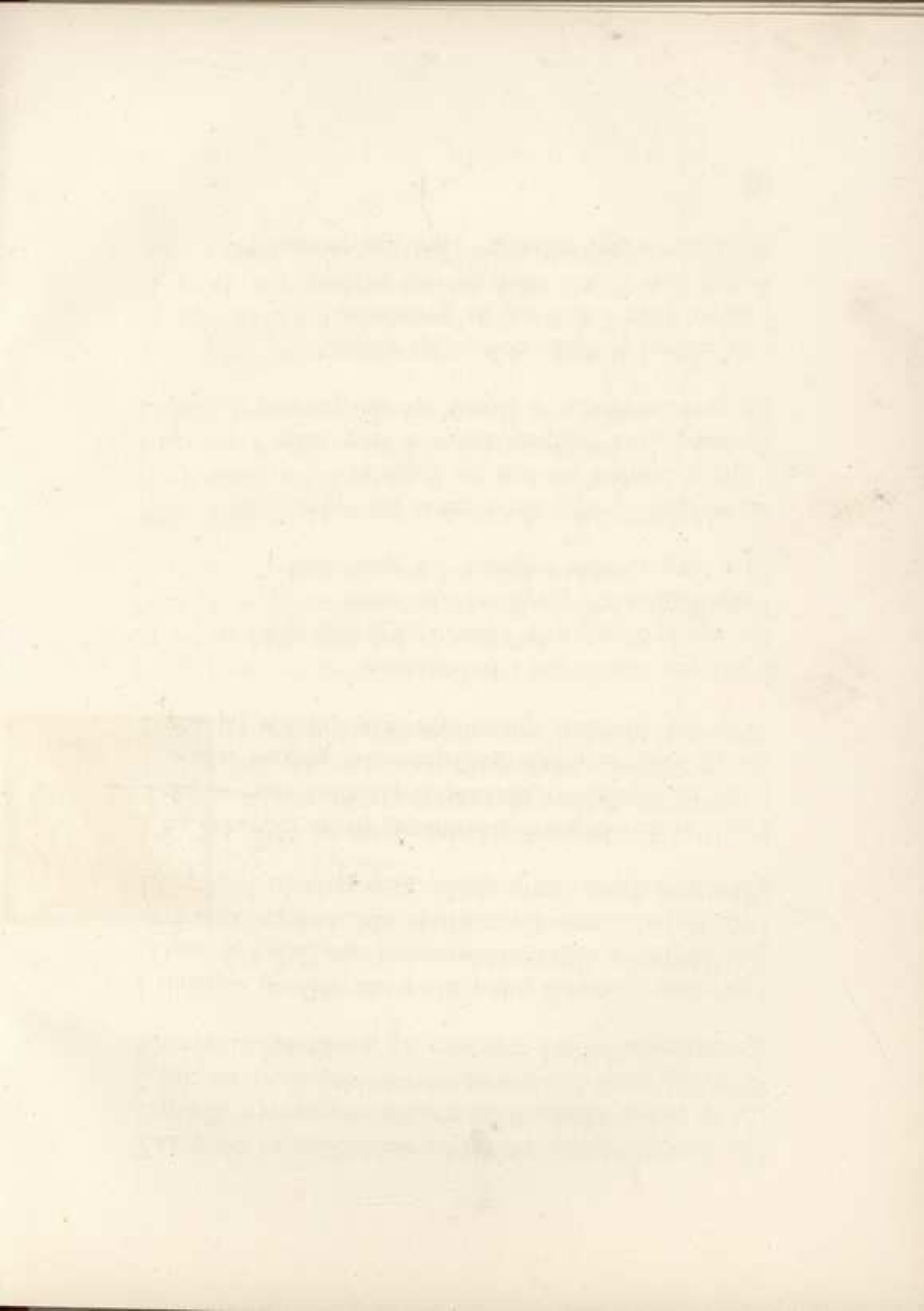
Naraz gość jakby nie słuchał już cale
I kiedy tamten jeszcze go zagada,
Rzecz: „Toż waćpan zakończ one żale,
Bo przecie macie w domu swego gada.”

I tu wbiegł Robak, pokazując kielce
I zaraz nuże kulać się na grzbiecie,
A zaś pan Pasek niby, że rad wielce,
A gryzie wąsy, mówiąc: „Toś jest przecie?”

Zaś gość ze śmiechem jako dziw najrzadszy
Ogląda wydrę, jak się wśród izb kula,
I, jak na teatr jaki, na to patrzy,
Mówiąc: „Na Boga, ta rozerwie króla!”

I dalej w prośby znów do pana domu:
„Dasz ją? Toć nie patrz jak ze szkła oczyma!”
A Pasek na to: „Nie dałbym nikomu,
Lecz król niech ma ją, kiedy chce, niech trzyma!”

I tu odwróci łzawy wzrok ku ścianie,
Taką w nim żalność wzbudza ta rozłąka
I gładzi wydrę, jak na pożegnanie,
I coś jej w uszy z rozczeniem bąka.





a drut ją dano, jako trzeba, potem,
A ona wyrzy z tych kratowań rzewnie,
Aż jakimś cichym ozwie się piskotem
I jak w więzieniu, tak jest w onem drewnie.

Panu Paskowi gęba przez noc schudła,
A że to byli z wydrą chwilę sami,
Nim ją w podróżne one sadzał pudła,
Z mokremi nad nią od łez stał wąsami.

Więc rzecze do niej: „Juże zmilcz, już nie trza,
Bo i mnie, myślisz, że to lżej, a muszę...”
I tu pan Pasek w usta wziął powietrza
I choć przed wydrą, to otwarł swą duszę.

Żeśmy to przecie wszyscy tu są swoi,
A gdy król prosi, słuchać jest rzecz święta,
A człek czy zwierzę: jedno. Rzecz w tem stoi,
Że i zwierz polski niech służbę pamięta!

A było wówczas pięknie, bo w południe,
Powietrze pełne letniego wesela
I o staw słońce miotło ułudnie
Blask, co się tęcznie tam i sam rozstrzela.

A przecież smutek był też w stawie onym,
Chocia świeciła woda, jak w paradę,
I choć w nim żaby głosem uprzykrzonym
Wciąż powtarzały, że są rade, rade.

A naraz jastrząb jakoby zakwili,
Z tych jeden, co jest w zwierzyńcu przykuty,
A za nim z jękiem ozwał się po chwili
Kruki, jelenie, psy, orły, birkuty.

I jako nigdy, naraz zajękocą
W ono południe, w złotem onem lecie
I łkają, czemu? pytają się, o co?
Żegnają kogoś w najczulszej walecie.

A poseł króla szedł na karet stopnie,
Aże się nagle uderzy po czole
I rzecze: „Rozum na gorącu topnie,
Toć przepomniałem: rzecz mi waść swą wolę!

Czego za oną chcesz od króla panią,
Której tu oto winien-em konwoje?
Jak bratu radzę, nie zbywaj jej tanio,
Ty rzecz, ja także słowo przydam swoje.“

A zaś pan Pasek w pokłonach się ściele,
Ale jest chmurny. Ten zysk go nie łechce.
Rzekł: „Myśmy byli z sobą przyjaciele,
Za przyjaciela nic od króla nie chcę.”

I uciekł, jako że w bicz jęto strzelać,
Być nie mógł dłużej i w dwór uciekł bliski...
Niecha się na nią wypatruje czeladź,
Jeśli jej miłe zwierza łzy a piski.

Juże karoca szkli się między drzewy,
Już dalej między płotowemi kołki,
Aż starej jędzy zgrzytnie głos: „A gdzie wy,
To tu robota dla was, złe pacholki?”

To ino się wam wygapywać wszędy!
Ty czemu buczysz? Cicho będziesz, capie?
Niech swego każdy ima się w te pędy!
No już, bo zara którego zacapię.”

Już wdał karetne pociągnęły dyszle,
Przed dworem pusto, li w pstrokatej kiecy
Zła baba za kimś w groźbie pięści wyszle
I, w dwór wracając, źli się wciąż a skrzecy.







ród ścian, owisłych jedwabną oponą,
I wśród sal wielkich o pozłocie klamek
Robaka wreszcie z tych klat wypuszczono,
Które go wiozły na warszawski zamek.

Jeszcze strzęsiony był od onych kolas,
Więc ledwie patrzy na mur, co się sroży,
Na biel marmuru, z którego jest golas,
Stojący ondzie pośród sal naroży.

Potem usunie ktoś opony zieleń,
Co nadół fałdy opadła dużymi,
I ten ktoś w ciszy dywanowych ścielen
Śród sali stanie, dobry i olbrzymi.

Człek był w powadze lat, a i o tuszy,
Strój miał pół złoty, a przez pół niebieski
I wąsy tyle, że je wic za uszy...
Nikt takich w Polsce nie miał, li Sobieski.

Wtem w dłoń zaklaszcze, bo już to byleco
Dojrzał, tę wydrę, jako w kąt się wtula,
A tu do izby złote pazie lecą,
Owo klaśnięcie usłyszawszy króla.

A ten nuż wołać: „Jest zaś monstrum owo.
Trza, niech tu który łoże mu umości!“
A zasie mowę, dziw, jak miał basową.
Przyda nią jeszcze: „A wołać imości!“

I tu królowa na pokoje wbieży,
A z nią wraz kieca, jak na dwie uszyta.
Zasie ma włosy, podobne do wieży,
Że, ją ujrzawszy, wydra aż zazgrzyta.

I insi przyjdą dworscy, w złocie cali,
A dużo jest ich, prawie jako wojska
I już na wydrę oczy pozwracali,
Tem się dziwując, że to taka swojska.

Wśród nich są jako ubrani za karę,
Jak ten, co nie je, zdają się wychudli.
Jakobys właśnie patrzył na maskarę,
W pończosze łydy, a łeb im się kudli.

Otworzą usta, tako są ciekawi,
A wydra stoi, jak pojmana w paście
I wzajem takż na nich pyska dziawi,
Aż król się śmieje, rzekąc: „Patrzcie aście!“





I nad nią samą nisko zwiesi węża
I dłonią po niej prowadzi z pieśczętą,
A ona patrzy się tylko, nie kąsa,
A zaś nie kąsa, bo przecie wie, kto to.

Tedy jej wannę przynieśli srebrzącą
I pluskiem wody, gdy niesiono, głośną
I do tej raków a i ryb też wtrąca,
Zaś król pod boki się wziął i rzekł: „Noś-no!”

Gdy wydra z jego ordynansu goni,
Coraz łowiąca coś, na poczekanie,
To wierzyć oczom nie chcą dworscy oni
I król też, wsparty na srebrnym czekaniu.

Aż tu królowa jejmość coś zaskrzeczy,
Nie wyrozumieć wszakoż co, bo ono
Sam nos to mówi, a zaś nic do rzeczy,
Jakby o rondle w kuchni potracono.

Ta mowa wydrze godną się nie wyda,
Że w niej nie zgryziesz tamtych słów i tych nie.
Iżby pokazać, że w tem jest ohyda,
Na tak mówiącą panią Robak prychnie.

Dopieroż król się śmiać i boki oba
Klepać, z królowej już i stroić żarty,
Że jej „pą-bą” się wydrze nie podoba,
Że przeciw Francji ten zwierz jest zażarty.

Potem oboje już zasięda ławę,
Śmiejąc się: grubo on, a ona cieńko,
Aż król rzekł: „Bardzo to lichy łaskawe,
Mieć z niej pociechę będę, Marysieńko!”

A w salę promień pada na te słowa,
Iżby ją zrobić złotą jeszcze więcej
I złota odeń stała się ta mowa,
Jakby w nią tkani nasnuł kto świetlęcej.

Niech jak najdłużej będzie tej poświatli
I tej przez uśmiech oświeconej chwili,
W której radosny ludzie krąg upletli,
Król w środku, dworscy kołem go owili.

Niechże uciechę wśród nich ma a radość,
Niech czas beztroski dźwięczą mu penduły,
Bo już niedługo będzie szczęściu zadość,
Niedługo będą inne wichry duły.

Niedługo listy wyśle zapowiednie,
Oblecze zbroje i w żelazo obut
Pójdzie na siecze aż pod one Wiednie,
By się rycerskich, srogich imać robót.

Przeto niech teraz wczas mu czoło otrze,
Niech rad rzechota do tego zwierzątka
I niech z tych nici, co tu są najzłotsze,
Przędzie mu chwila, niczem dobra prządka!



w noc czy ono kto posrebrnił salę,
Że błyski po niej, ze ścian srebro rosi,
Z obrazów srebrni patrzą się wąsale
I srebrny księżyc przejrzy szybę skrosi.

Jakby na wszystkim lśniąca legła chusta...
Dalej są widne w tej lśni mury groda,
A zaś tam nisko coli się tak chlusta?
Pojrzy w tę srebrność Robak, a to woda.

I już mu za nic są na szyi pęta,
Zbył ich, w tem świetle jakoby się biesiąc.
Do wody musi, tako go opęta
Ta noc i srebrny ten na szybie miesiąc.

Po łyskoczącej spłynie nadół rynnie,
Już za nim zamek jest i ona łuska,
Co drży na dachach. Plusk! Jako mu płynnienie!
Juże we wodę zapadł i w niej pluska.

Ryby spotyka dziwne, by dziiryty,
Rycerskie cale, lecz się o nie otrze,
Tem, że we wodzie, już zadość syty,
Co mu tam one dziwy są jesiotrze!

I to się graży Robak w głębiach fali,
To z niej wychynie ciałem trzepoczącem,
Z onem się srebrem coraz poufali,
Z onym, też wodą płynącym miesiącem.

I tak z nim igra, że jakby go łowi:
Już, już ułapi i wodą wkrąg pryska,
Lecz jak go imać, z tem się ano głowi,
Jak z jego srebrem wypłynąć u pyska.

Gdy wśród tych igran z fali raz wynidzie,
Jest bez miesiąca ona wodna szyba.
Zdumiał się Robak: już po srebrnym zwidzie.
Gdzieże się podział? To zatonął chyba.

I tu popatrzy po łóz brzeżnym tłumie:
Jakby w różaną barwę je ubrano...
I zamek ujrzy i, co jest, zrozumie.
Toli się szyby szklą, jak zwykły rano.

Więc o brzeg trzepnie resztą wody owej
I tak mu jakoś jest, że trudno orzec,
Bo w tej jaśności przypomni różowej,
Jako do pana biegał tak w on dworzec.



I patrzy Robak, jako ona rzeka
Płynie gdzieś przed się, z pędu zadyszana.
Patrzy i ta go nagła myśl urzeka:
Żeby też przed się iść i szukać pana.

Żeby przez owo jakieś iść bezdroże,
To się i zajdzie, cóż tam znów za sztuka!
We świecie wszystko odnaleźć się może,
Kiedy kto sercem miłującym szuka.

Lecz tu przypomni z panem pożegnanie
I zaraz mu się ta myśl dobrą nie zda.
Wie, że u pana byłaby w naganie
Ona ucieczka i ona w świat jezda.

A właśnie owo dzwon godzinę kowa,
Więc Robak rusza przez roszące trawy.
Że to go służba czeka tam zamkowa,
Na zamek wraca, jak dworzanin prawy.

Wtem kroki czyjeś słychać, jako lażą,
Tup, tup, a barwa jakby jest żołnierza.
Pod blask coś przy nim błyska, jak żelazo.
Tup, tup: to dragon przed się drogą zmierza.

Ten, że to dojrzał we krzu coś, więc goni.
Co za zwierz taki wyszedł z wód i dysze?
Nuże za berdysz, iże ci dragoni
To w on czas byli zbrojeni w berdysze.

Aż on toporzec tnie w powietrznym świeście
I załśni zasie od porannej pory,
A Robak nie wie, czemu jest tak łśniście
I czemu czynią taki ból topory.

A potem wszystko w oczach mu się zatrze
I już jakoby nie nad tą był wodą,
Nie te się łoży ruszają we wiatrze
I szept jakowyś między sobą wiodą.

Przecie to tamten staw się wkół kołysze
I zaś szelesta przyjacielsko trzcina,
A Robak w mokre zaszył się komysze,
Aż go zawoła znany głos: „Pódzino!”

Na tamtym brzegu stoi ktoś i klaska...
Czyli znajomy, czy zwiduje mu się?
Aże tu naraz pozna pana Paska
I wie, że w wodę trza iść w jednym susie.

I choć pan woła jakby już zdaleka,
On sił ostatkiem w podróż tę wyrusza.
Do pana toli, więc się z leż tych zwleka
Nie on, a jego biedna, wydrza dusza.

Lecz tych wód tyle i tak od nich srebrnie...
Byle do pana, to co mu tam o nie!
Już Robak głębi wszystkich tych nie przebrnie,
Już w onych wodach srebrniejących tonie...



uż lipa w żółtej stanęła opończy,
Ono nad domem panujące drzewo
I siewa liściem, a zda się, nie skończy.
Tedy pan Pasek pod tą siadł ulewą.

Zasiadł kamienną, mchem brodatą ławę
I patrzy w oną błękitność pogody,
Co liście miota smukłe a żółtawe,
Jakby w powietrzu wyprawując gody.

Słucha, co mówią liście te z szelestem,
A patrzy przed się ócz pustkami dwiema
I myśli sobie: że to już sam jestem,
Że zaś Robaka mego ze mną niema.

Bo wie o wszystkim, wszystko wie i pomni,
Jako tej wydrze przyszło do zagubin...
List mu się biały w pamięci ogromni
I na nim w słońcu on pieczętny rubin.

Wie o Robaku i o króla gniewie
I że tych zabójstw ukarano sprawcę,
Tylko, co teraz robić ma, to nie wie,
Na swej kamiennej spoczywając ławce.

I liściem cicho sieją nań jesienie,
Jakby smutkowi czyniąc drogę znaczną,
Aż się biadaniem ozwie dwór i sienie,
Że to w nich dziewczki pochlipywać zaczną.

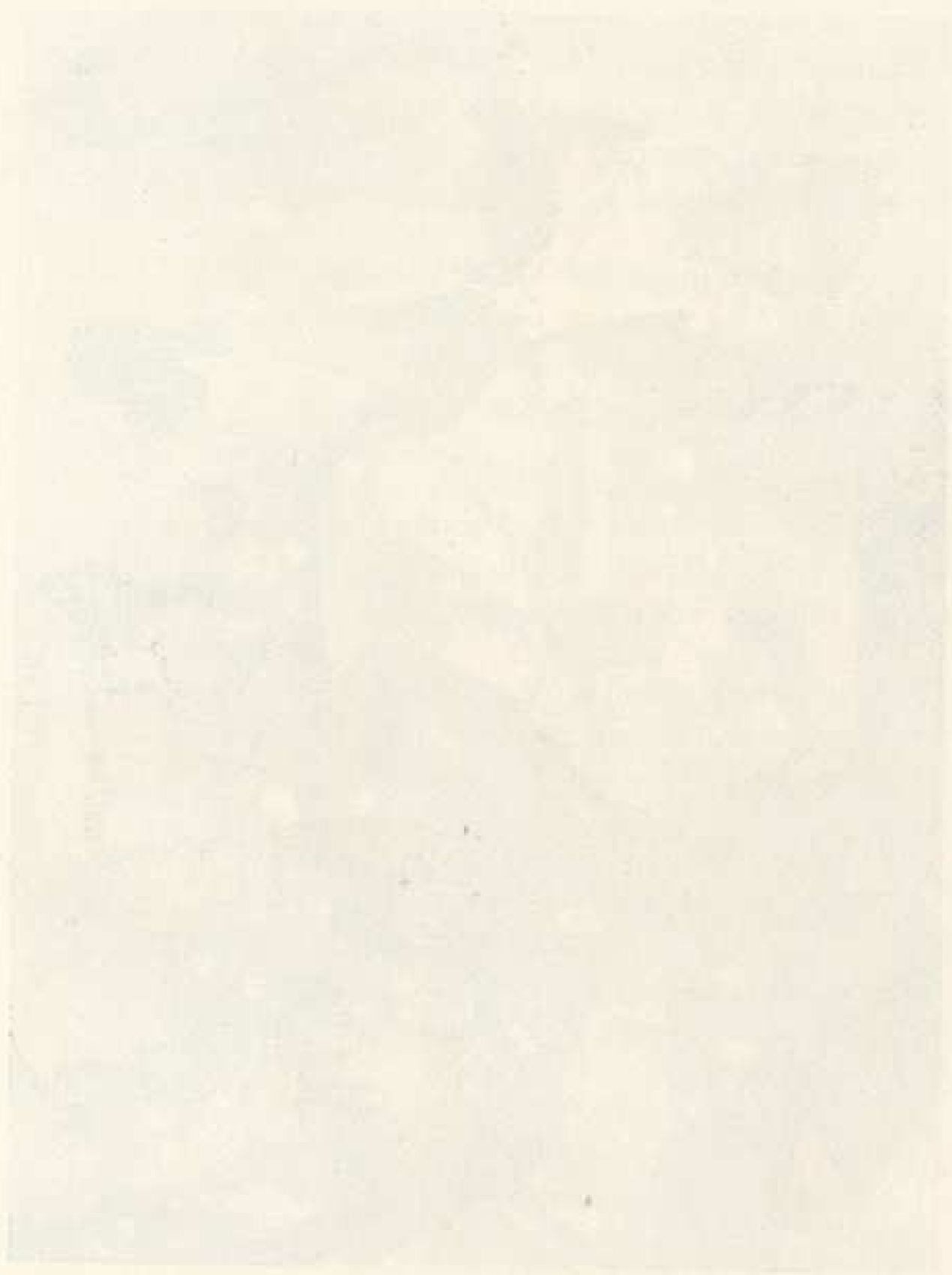
Po izbach takóŜ jest płkanie jedno:
To się tak Piotrek rzewni nad tym zgonem,
A liść wciąż płynie i wciąż drzewa rzedną
I żalóść mnoŜą nad domostwem onem.

AŜe się owe kluczy ozwą chrzęsty
I ona stara jejmość jest przy panie,
A z chust jej płacz się wydobywa częsty
I zwiastujące wielki żal sapanie.

I powie: „Owa na Robaka klata,
Ów jego wyjazd moja to przyczyna
I jam go dała jakby w ręce kata...”
Tu, jak co było, mówić rzecz poczyną.

I jako miała u ust złe przezwiska
I ile od niej ucierpieli ludzie...
A teraz żal ją po tej wydrze ściska,
Lecz, że jest taka, to ze służby pódzie.





Zaś Pasek, chociaż od żalości tępy,
Rzekł: „Już się aścka nie wiń o Robaka,
Nie twe go z domu wygnały podstępny,
Widno, że była wola boża taka.

Żeś w utrapieniu, mówi twe oblicze,
Toli już innych nie chcę na cię chłostań,
Dosyć, że człeka Bóg wziął pod Swe bicze,
Więc, jeśli wolę aścka masz, to zostań!”

Tu ona nuże wdzięczne rzucać miana,
A twarz ma jasną pierwszy raz ta jędza,
Zaś Pasek, choć go cieszy ona zmiana,
Burknął: „Co robisz, w rękę całuj księdza!”

A zaś starucha wzrok w on błękit topi
I którą ino w drodze dziewczkę spotka,
Juże ją gładzi po włosach z konopi,
A gdy się ozwie, to jest w mowie słodka.

Tu ze zwierzyńca ptaki zafiukocą
I przez drut ona odezwie się puszcza,
A stara wie już, dokąd iść i poco,
I wie też brama, co ją, skrzypiąc, wpuszcza.

I już wie, jako ulży swojej winie:
Miłować będzie zwierzy ród i ptaszy,
Krzywdy nie robi nijakiej żywinie...
Ledwie udźwignie, tyle wzięła paszy.

Tak myśli, takież wolę swą stanowi,
Idąc pod liści szeleszczących wieją.
A ku niej idą przyjaciele nowi,
Ci dziobem zdobni, a tamci łbem chwieją.

I jako liści ubarwiony opad
Do stóp jej płyną z drzew ptaszek oni,
Zasie ubrany w oną parę łopat,
Co mu z głów rosną, jeleni jej się kłoni.

A jak to zwierz ten zwinny, jak się rucha
I cały jakiś jakby zda się luby,
A inne takież. Rada im starucha,
Że je nawidzieć będzie, czyni śluby.

A one w głos się odzywają różny,
Lecz jako z dali już wołają na nią,
Bo całun liści na nie spadł podróżny
I wszystko okrył swą tajemną tkanią.

Zwierzęta one skrył i onych ludzi
I biel drzewianą onych ich dworzyszczy.
To wszystko przeszło... Został zaś i ludzi
On liść pożółkły, co w mym wierszu błyszczy.

On mnie tę powieść uczył snować prostą,
O dawnych rzeczach odeń mam nauki.
Bowiem te liście, które teraz rosną,
Są dawnych onych pra-pra-pra-prawnuki.



BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego

Nr **1955**

